Rok 1898. Lwów, dnia 17. stycznia. Nr. 3.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

Stargane struny.

Niedawne to dzieje. Obie z koleżanką uczyłyśmy się muzyki u jednej dawnej znajomej moich rodziców. Sama jedna, bez bliższych przyjaciół lub krewnych, zamieszkiwała malutki pokoik na jednej z głównych ulic. Dobra, łagodna, potrafiła prędko zjednać sobie serca nasze tak, że wkrótce zaliczałyśmy się do najgorętszych jej wielbicielek.

Zawsze czarno ubrana, intrygowała nas swoim bezbrzeżnym jakimś smutkiem, który nawet weselszego uśmiechu nie wywoływał nigdy na jej usta. Przeczuwałyśmy, że na dnie tej biednej duszy spoczywa jakaś bolesna tajemnica, co życie jej przemieniła w ciągłą, nieprzerwaną, cichą skargę.

Pewnego razu wróciłyśmy z pogrzebu ulubionej naszej koleżanki, którą epidemia tyfusowa panująca wtedy w mieście, powaliła ciosem śmiertelnym... Spotkała nas, zabrała do siebie, starała się pocieszyć, a kiedy widziała, że nic wyobraźni naszej oderwać od smutnego obrazu nie może, zaczęła głosem melodyjnym opowiadać dzieje swojej jedynej przyjaźni... Dziś, kiedy już nie żyje a ziemia przykryła na wieki te poczciwe kości przytaczam to opowiadanie ze wszystkimi szczegółami:

— Lubiłyśmy się bardzo. Przyjaźń nasza nie była tą zwykłą przyjaźnią kobiecą, co rozrządzając tysiącami pocałunków, zapewnia setki razy o swojem uczuciu, a w gruncie rzeczy nic uczynić nie jest zdolną. Nawet do żadnych głębszych zwierzeń między nami nie doszło, a przecież — lubiłyśmy się bardzo!... Ciągle mi stoi przed oczyma ta postać szczera, serdeczna, podbijająca tym swoim naturalnym wdziękiem całe otoczenie. Przepędzałyśmy razem chwil wiele. Nigdy nie zapomnę tych wspólnych wycieczek we dwójkę, jedynie w towarzystwie mego psa, co stąpał za nami krokiem poważnym i statecznym, niby rzeczywisty, godności swej świadomy opiekun. Z ulubioną książką jakiego sympatycznego autora, z albumem rysunkowym w ręku szłyśmy razem szukać wrażeń i przenosić je wspólnie na papier. Ślicznie rysowała. Ofiarami jej talentu padały śmieszne figury znajomych, które swą zarozumiałością, albo innemi tym podobnemi zaletami zasługiwały na umieszczenie w albumie karykatur. Byłam jej w tem poczęści pomocną, dostarczając do każdej illustracji potrzebnej ilości satyrycznych rymów.

I tak powstawało coraz więcej tych ujemnych szkiców, które nam jednały całe zastępy wrogów wśród złotej młodzieży. Nic to nas jednak nie obchodziło. Głównym bohaterem naszych tworów, był pewien młody artysta. Podobał się jej — wiedziałam o tem, a mimo to piękna jego osóbka zdobiła prawie każdą kartę naszego albumu karykatur.

Przystojny był, ale tą pięknością lalkowatą, wymuskaną, niezdolną do wzbudzenia jakiegoś głębszego uczucia. Zarozumiały, próżny, grał tylko ładnie na skrzypcach. Co ją mogło ku niemu zwrócić, nie wiem. Chyba ten pierwiastek artystyczny, co łączy dusze niewidzialnie i nieświadomie. Lubiła słuchać bardzo gdy grał. Słuchała długiemi godzinami, bo w tej grze jego było tyle skargi, tyle uczucia, tyle duszy, że głazy byłby mógł wzruszyć. Ona wtedy zapatrzona, zasłuchana, jak marmur blada, ulatywała na szkrzydłach fantazji w boskie krainy piękna, przymykała oczy zamglone, rozmarzone i pozwalała bujać swobodnie myślom po widnokręgach ducha. Lubiłam ją wtedy obserwować, lecz równocześnie taki nieokreślony żal, takie przeczucie serce mi targało, że także przymykałam oczy, aby mara znikła... Niestety! Myśl uporczywie wracała, trapiąc przypuszczeniami, że ta istota idealna, ta dusza wrażliwa, poetyczna, stworzona jakby dla innego świata, żyć długo na ziemi nie będzie. Po skończonej grze wracała do równowagi, wola przemagała uczucie, zapanowywała nad jego kaprysami, wracał dawny humor, wesołość.

Podziwiałam ją wtedy... Zawiedziona już raz w przyjaźni, okupiwszy ten zawód pamiętnem, długiem cierpieniem, lgnęłam do niej coraz bardziej, ceniąc może bezwiednie siłę moralną i szlachetny charakter tego dziewczęcia...

Losy nas rozdzieliły. Ucichły słowicze koncerty, zamilkły struny młodego skrzypka. Powódź wypadków wyrzuciła ją na inną drogę życia, przeznaczenie z całą gwałtownością unosiło szybkim prądem.

Po kilku miesiącach zobaczyłyśmy się znowu. Zaczęły się na nowo rozmowy, czytanie, spacery, wspólna

praca, wspólna zabawa. Pytała się o niego. Opowiedziałam jej szczegółowo, długo, co tylko pamięć w swej skarbnicy zachować mogła. Nie brakło tragicznych scen ani komicznych epizodów... Białe malutkie kwiatki nazwał podczas jakiejś wycieczki „strunami“. Mówiłam jej o tem; zasępiła się na chwilę, potem podniosła na mnie swoje mądre, głębokie, czarne oczy.

„Zrobisz mi to?“ — spytała. Przyrzekłam. Uścisnęła mi rękę, potem podała maluchny bukiecik białych kwiatów. „Oddaj to jemu, ale nie powiedz od kogo... albo... albo powiedz, że to odemnie, z ostatniem pożegnaniem.“

Zrobiło mi się strasznie przykro. Zdławiłam łzy w sobie, starałam się wybić jej z głowy te czarne myśli. Niestety! sama nie przekonana, nie potrafiłam jej przekonać. — Siliłam się na to całą mocą, ale zamiast pociechy wychodziły z ust moich słowa podobne raczej do przygrywki pogrzebowej.

Długo jeszcze zostawałyśmy ze sobą, ale już nie wróciła dawna swoboda. Jakaś czarna chmura żałoby wisiała nad nami, przygniatając swoim ciężarem.

Rozstałyśmy się wreszcie. Pożegnanie było czulsze niż zwykle. Jeszcze na stopniach powozu uścisnęła mi rękę nerwowo, konwulsyjnie.

W parę miesięcy dostałem list od niej. Zdziwiłam się — listów nigdy pisać nie lubiła. Nic w nim nie było zresztą nadzwyczajnego. Opisywała mi swoje nowe stosunki, otoczenie, spokojnie, bez wzruszeń, nie potrącając ani słowem o przeszłość.

W tydzień umarła... Stretwiałam. Zdawało mi się, że ziemia się z pod stóp moich usuwa a ja lecę gdzieś w przepaść boleści — sama jedna. Serce targała żałość taka straszna, okrutna, duszę owładnęła ciemność i pustka. Porównywałam się w myślach do rozbitka, któremu wyrwano z rąk ostatnią deskę ratunku.

Przed oczyma stanęło mi całe życie biednej przyjaciółki. Widziałam przed sobą ciągle jej oczy głębokie, czarne, a w uszach dzwoniła mi ostatnia prośba zmarłej...

Ból swój zdusiłam jednak, zgniotłam w głębi, nie chciałam go okazywać. — Świat zanadto zimno, zanadto realnie patrzy, aby cudzy ból należycie oceniał....

Śmiałam się, bawiłam wśród gości świątecznych, gdy w uszach brzmiały mi jeszcze rozstrojonymi tonami echa wspomnień. Ludzie się dziwili i wzruszali ramionami, że tak lekko przyjmuję śmierć przyjaciółki.

W gronie dawnych znajomych, na wieczorze u jednej z naszych koleżanek, zobaczyłam się z nim... Siadłam jak dawniej do pianina. Z pod palców wypłynęła smutna a ulubiona jej fantazja... Chwycił za skrzypce i grać zaczął. Żadnej w nim zmiany nie spostrzegłam. Usta jak dawniej wykrzywiał uśmiech ironiczny. Grał swobodnie, lekko, porywał grą swoją całe grono słuchaczy. Panie obrzucały go słodkiemi spojrzeniami, nie szczędząc pochwał. Przyjmował te hołdy obojętnie, chłodno, jak dań należną.

Wiedział, że umarła. Naumyślnie grałam, chcąc w nim obudzić iskrę gorętszego wspomnienia; chciałam go niejako przygotować do godnego przyjęcia pamiątki po zmarłej... Korzystając z chwilowej nieuwagi gości, dałam mu biedne kwiatki. Przyjął je z uśmiechem tryumfu, dał słowo, że nie powie nikomu...

I nic, ani jeden żywszy wyraz nie okrasił jego pięknej, lalkowatej twarzy.

Nie był niczem więcej, jak tylko artystą, który cudowne tony ze strun wydobywa, dla sztuki, dla harmonji, dla dźwięku, bez względu na to, czy pod uderzeniem bezlitosnego smyczka nie zamilkną w końcu nazawsze, stargane...

Marja K.

Dr. FRANCISZEK KRČEK

Ze współczesnej poezji czeskiej.

(Szkic literacki).

Dokończenie.

Dziwna rzecz, że nasz największy dramaturg-poeta nosi to samo imię co i ten, który z trójcy przodowników poezji czeskiej zdaniem mojem największym jest dramaturgiem, to jest Juljusz Zeyer. Nawet dobór tematów z mitycznych dziejów czeskich („Gniew Libuszy“, „Neklan“ itd.) zbliża go do twórcy „Baladyny“ i „Lili Wenedy“. Spiżowość postaci Zeyera szlachetność i prostota ich linij, poezja, bijąca z całości, czarują wprost czytelnika, no i widza, choć wskutek jakichś komeraży rzadko dostają się na deski *Divadla* w Pradze.

O ile w dramatach Vrchlickiego czuć jednak liryka który swego liryzmu nigdy nie może się wyrzec, o tyle w nich epik Zeyer pozostaje sobie zawsze wiernym. Bo obok dramaturga tkwi w nim epik i to wysokiego nastroju poetyckiego szukający piękna we wszech kończynach świata i we wszech epokach dziejów. Z równą lubością opiewa „Wyszehrad“ czeski, jak *aventures* rycerzy Karola W. („Karolińska epopeja“), a jak z przedmowy do ostatniej tej epopei dowiadujemy się, pracuje też nad epopejami rycerzy Artusowych, d

Grala, królewicza Marka i bohaterów kijowskich. To wierszem — a w prozie tworzy cacka stylowe na tle Japonji i wogóle tego tak poetycznego Wschodu, co mu nie przeszkadza przeskakiwać aż do — Islandji, lub tak głębokie odtwarzać procesy psychologiczne, jak w „Janie Marji Plojharze“. Że i ze starożytności klasycznej potrafi wydobyć po tylu poprzednikach i obok takiego jej znawcy, jak Vrchlicki, nowe motywy, dowodem choćby „Vertummus i Pomona“, którą zasłużony Mirjam, wielki wielbiciel i jedyny świetny interpretator poezji Zeyerowskiej, dał niedawno poznać publiczności polskiej w mistrzowskim przekładzie, ogłoszonym w jednym z dzienników lwowskich.

Skończyłem z trójcą która jak Zeus, Posejdon i Hades świat cały, podzieliła się między sobą władzą nad państwem nowoczesnej poezji czeskiej. Lecz poza Olimpem jest jeszcze Parnas. Kolej więc na — „parnasistów“.

„Parnasiści“ termin znany to, ze zbiorku wierszy *Parnasse contemporaine*, wydanego przez księgarza Lemerre'a, przeniesiony na grono poetów francuskich, którzy w połowie wieku bieżącego skupili się dokoła Lecomte'a de Lisle. Główną cechą tej szkoły było (że powtórzę słowa Sarneckiego w jego „Historji literatury francuskiej“) „staranie o zatarcie w poezji o ile się da tylko indywidualności własnej, niemal zupełne pominięcie wzruszeń osobistych, a przytem ubieganie się o doprowadzenie formy do najartystyczniejszej doskonałości.“ Prąd „parnasowy“, jak zwykle, z Francyi powionął następnie dalej na Wschód i ostatecznie u schyłku trzeciej ćwierci wieku znalazł odgłos także w Czechach. W szczególności przyrosło tam miano „parnasistów“ do drużyny poetyckiej, którą zaczynają K. Kuczera, Fr. Ulrich, K. Leger, Fr. Kwapil, A. Szkampa i inni (razem 16 współpracowników programowego almanachu „Maju“ w 1878), a kończą A. E. Mużik, A. Klászterski, B. Kamiński i F. S. Procházka. Jeśli chodzi o ostatni punkt programu „parnasistów“ francuskich, to ten jest bezwarunkowo wspólny i czeskim ich współimiennikom. Rzeczywiście łączy ich w jedną zwartą falangę „jednakowy, albo przynajmniej podobny sposób patrzenia na rzeczy i dykcja (posługują się niemal tymi samymi zwrotami i obrazami), budowa zwrotek i wierszy, rozwijanie i stopniowanie myśli zasadniczej, pewna szlachetność i poprawność formy i umiarkowanie przy pełności zresztą wyrazu i kolorytu, słowem ten szlachetny formalizm, który też cechuje parnasistów francuskich“ (*Zl. Praha* 1893, str. 288). Zresztą każdy z nich to inna osobistość, inna literacka indywidualność. Ulrich to autor „kryształowo pięknych, niezwykle tkliwych sielanek“, Leger stworzył szereg realistycznych „Powiastek wierszem“, Szkampa tak w najlepszym swym zbiorku „Malowidła i pieśni“ jak w „Młodym świecie“, „Małych skrzydłach“ i „Na dworze i w domu“ (1893), zawsze pozostaje malarzem jasnego krajobrazu, poetą cichych a serdecznych nastrojów, a choć — jak każdy realista — nie posiada widnokręgów szerokich, jednak nagradza ten brak uczuciem prawdziwem.

Najwybitniejszym może epikiem „parnasistów“ jest znany tłómacz Asnyka i Krasińskiego*) Franciszek Kwapil, którego „Śpiewy książęce“ przed laty 15 już zdołały wywalczyć sobie godne stanowisko obok takiego n. p. „Wacława z Michałowic“ Czecha i „Legendy o św. Prokopie“ Vrchlickiego, a w r. z. ponownie wydane i pomnożone znacznie, przyniosły poecie nawet nagrodę praskiej Akademji umiejętności.

Treść zbiorku F. Kwapila stanowią ballady i romanse, osnute na tle skazek ludowych wielko- i maloruskich, głównie z cyklu o Włodzimierzu i innych bohaterach dawnej Rusi, którą poeta, szlachetny bojownik postępu i wolności, przeciwstawia dzisiejszej Rusi „niewolnicy“:

Już nie rodzi Ruś-matuszka bohaterów jarych,
Ale popów, czynowników, jenerałów, carów,
Oj ty, ludzie, ruski ludzie, co ci zmysły mąci?
Nie ma onych, nie ma szczęścia już na Rusi świętej....

Należy jednak zauważyć, że ani formą, ani treścią skazek ludowych poeta się nie krępuje; owszem przetapia oboje w ogniu swej twórczości i daje nam cacka artystyczne w rodzaju utworów muzycznych Smetany lub Dworzaka, opartych ostatecznie na muzyce ludowej, a jednak niebędących li parafrazą jej motywów.

Niezwykle męzką jest poezja Mużika, owiana zresztą zawsze melancholją. On też obok Procházki Antoniego może najżywiej z pomiędzy drużyny omawianej zajmuje się kwestjami socjalnymi i im wiele poświęca miejsca w swych zbiorkach, z których wymienię jako najlepsze: „Pieśni życia“ (1894) i „Wrażenia z wystawy“ (ludoznawczej) (1895). Głęboki patrjotyzm tętni w jego utworach i idei narodowej każe podporządkować wszystkie inne. Jako wiersz typowy dla twórczości Mużika przytaczam Motyw z „Hradczan“:

W sinym deszczu, w którym tu chmura płacze,
Jak kobieta, chora na nerwy, kiedy
Tęskni za minioną miłością, skryte
Całe Hradczany.
Chodzę w około, patrzę, czy spotkam może
Jedną znaną twarz drogą, z której padnie
W duszę mą wspomnienia choć promień miły,
Zwiędła nadzieja.
Nigdzie nic. Nikogo ni tu, ni ówdzie,
Monotonnie tylko ściekają z dachów krople
Smutno, tęskno niespostrzeżenie, głucho,
Jak czeski żywot.
Jak ten czeski żywot się rodzi marnie,
Marnie chwilę dysze, by w grób się schylić,
Dawno, dawno jego przekwitła wiosna
Jesień nastaje....
Cóż to widzę? Kamień to wielki, ciężki,
Stary marmur zrudły, rozłaman w dwoje,
Sławny, zacny herb to rodziny czeskiej,
Z tumu wyniesion....
Długo po nim chodził tłum, podeptali
Martwe znaki, w twardym marmurze ryte,
Nikt ni miana nie znał, ni stanu nawet
Dawno zmarłego.
Tak przez wnuka niezrozumiana przeszłość,
Głuchym krokiem — życie tak chce — deptana
Obojętnie, przeszłość ta nasza, nawet
Krzyczeć niezdolna.
Czyż tak kiedyś z tumu narodów żywych
Bezimienny, bez protestacji, herb nasz
Podeptany złamią i precz wyniosą.
Jako ten marmur?
Smutno chłodno... milczy herb mową grobu...
Idę dalej, wieczny deszcz swymi jęki
Nie jest w stanie w ciężkich obudzić piersiach
Wiosny przeczucia!

Antoni Klászterski również na tle biedy ludzkiej czasów dzisiejszych osnuwa swe „Poematy epickie“ (1892) ale bez tej siły, co Mużik i Procházka; do niej zresztą niezdolna miękka i uczuciowa dusza poety, pokrewnego Coppéemu poniekąd. Ostatnimi czasy ozwała się na lirze jego też tłumiona dotychczas struna miłości, mianowicie w „Ciemnych różach“ (1897); lecz i tu miejsce wybuchów namiętnych i zmysłowych

*) Zajęcie się żywe poetami polskimi w szczególności, a słowiańskimi wogóle, jest cechą wspólną „parnasistów“ czeskich. Oto co pisze sam Kwapil w tym względzie ich imieniem:

„Podczas gdy Vrchlicki poezji czeskiej otworzył okno ku Europie zachodniej, myśmy uczynili większy wyłom w stronę świata słowiańskiego“ A potwierdzają to też fakty takie, jak tłómaczenia z Mickiewicza jego własne, Mużika i innych, naśladowania Asnyka itp.

egzageracyj zajęła tęsknota i spokój uczucia, że tak powiem lojalnego.

Podobna ewolucja — zdaje się — nastąpiła też u Bogdana Kamińskiego, którego poezję cechował do niedawna szary, monotonny, beznadziejny pesymizm nirwany, wywołany arcyprzykrymi doświadczeniami życiowymi. Bije on ze wszystkich kart „Protestów", „Na pustkowiu" (1891), „Mężczyzn i kobiet" „Motywów ze Sychrowa", a nawet „Dwu powiastek". Niewyrzekł się go poeta nawet w licznych swych nowelach. Ostatecznie wszakże nastąpiła pewna zmiana, a jej ślady znajduję w erotykach „Przyszła do mnie Miłość," „Jak cię kocham" i „Spłynęła jasność", drukowanych w jednym z ostatnich zeszytów *Złotej Pragi*. Oby nowy ten okres wesela w twórczości Kamińskiego zaznaczył się równą płodnością jak poprzedni, pochmurny!

Sprzeniewierzam się jednak widzę — swemu postanowienia gawędzenia li o poetach, będących u szczytu twórczości, gdy mówię o Klászterskim i Kamińskim. Toteż nie powiem już nic ani o fermentującym jeszcze Fr. S. Procházce, autorze dziwacznego poematu epicznego „Język" (1895) i wcale udatnych zbiorków „Na urodzajnej glebie" i „Ognie na górach" (1893), ani o krzykliwych symbolistach i dekadentach, więcej polemizujących przeciw powagom uznanym, niż tworzącym, ani o oryginalnym autorze sonetów, rozłożonych na 4 tomiki według pór roku, genjalnym M. J. S. Macharze, o którym nie mogłem sobie jeszcze wyrobić stanowczego zdania.

Pozostaje mi tylko pomówić o piątym z rzędu wielkim żyjącym czeskim poecie, skromnym tłómaczu Szekspira, Burnsa, Longfellowa — Józefie W. Sládku. W nim jakby sięześrodkowała cała pełnia pieśni czeskiej ludowej, którą umie podać w tak artystycznej przeróbce, że pod tym względem nie ma sobie równego. Nie odrazu jednak trafił na właściwe dla swego talentu pole. Wystąpiwszy równocześnie z Vrchlickim, bo w r. 1875, choć starszy odeń o lat parę, zrazu był lirykiem egotycznym, opiewał słodycze i smutki swego serca. Okres ten trwał do r. 1888 i doń należą „Poezje", „Iskry na morzu" (1880), „Na progu raju" (1883), „Z życia„ (1884), „W słońcu i cieniu" (1888). Ale już w tym ostatnim zbiorku czytamy takie piosneczki, jakby z ust ludu wyjęte, jak „Nie przychodź do nas":

Nie przychodź, nie zjeżdżaj,
  Gdy kochasz mię,
Nie przychodź, gdy mama
  Położy się.

Mateczka usnęła,
  Tyś przybył k'nam
Na białym koniku,
  Co ja ci dam?

Koniowi obroku,
  A tobie nic,
Byś do nas nie jeździł
  Już nigdy w noc.

Raniutko przyjeżdżaj,
  Byleby nie w noc,
Dostaniesz całusa,
  A konik nic.

I rozmiłował sią Sládek w tej niewyczerpanej skarbnicy poezji ludowej i począł na złotej jej nici nizać perełki swych „Wieśniaczych pieśni i czeskich sonetów" (1890). „Pieśni staroświeckich" (1891, II. wyd. 1895), „Pieśni czeskich" (1892). Słusznie o tych poezjach F. Schulz powiedział, że stanowią one swego rodzaju „ludoznawczą wystawę", którą poeta wyprzedził niezapomnianą wystawę praską z r. 1895. W nich bowiem podał Sládek obraz oryginalnej kultury czeskiego ludu, w nich zogniskował uczucia i sportretował duszę tego ludu. Nimi też zdobył sobie wieniec nigdy niewiędnącej sławy, dając światu wzór typowej czeskiej liryki. Toteż z zadowoleniem może spoglądać na żywot spłyniony i dziś, gdy pięć krzyżyków ma za sobą, może pocieszać się, że nawet zima jego życia nie będzie pozbawioną słońca, jak to widzimy w najnowszym jego zbiorku „W słońcu zimowem" (1897). Gdyby nawet zamilkł po nim, o czem należy wątpić, to księga ta stanowiłaby testament, świadczący o wzniosłym umyśle, głębokim liryku, świetnym artyście i gorącym patrjocie, jakich narodowi bratniemu z naszej strony zawsze życzyć będziemy.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

Njaedel wogóle nie był bardzo lubianym, gdyż był... obcym. Prócz tego ten wysoki, silnie zbudowany człowiek miał w sobie coś odpychającego, a przytem zawsze miał takie wzburzone włosy! Gdy stał lub kopał na swem błotnistem polu, wyglądał jak wstrętny gad, wyłażący z ziemi. Jego kędzierzawa głowa, którą zawsze miał odkrytą, a nakrywał tylko w wielkie święto, odrzymała się na niebie, gdy ktoś przejeżdżający drogą, patrzył na niego. I wszyscy obcy zatrzymywali się i pytali się polnego strzelca, coby to było.

Njaedel jednak podczas pracy nie zważał na nic. Należał do tych, którzy zdają się walczyć z swą pracą. Z zaciśniętymi zębami, zmarszczonymi brwiami wywijał łopatą lub kilofem, ciągnął i szarpał i tupał, że ziemia dokoła zdawała się zamieniać w obłok kurzu; a gdy potem znalazł zwykły kamień, ktory mu się nie chciał poddać, rzucał się na niego z całą siłą, mrucząc, jak wściekły niedźwiedź.

Gdy jednakowoż nadchodziła pora obiadu, albo też stawało się za ciemno, wychodził z swego rowu i czyścił za-

brukane drewniane pantofle. Stawiał potem kilof na swoje miejsce i oglądał, czego dokonał. Gdy mu się zdawało, że praca mu się udała, pakował ręce we włosy i grzebał w nich tak, że stawały dębem, a potem uśmiechał się dobrodusznie do siebie.

W izbie, między kobietami, był tak łagodny jak jagnię. Schylał się nisko i poruszał się tylko bardzo ostrożnie, tak jakby się obawiał, że gdy się wyprostuje, to dach zwali głową, zniesie go na niej z chaty.

Podczas gdy sądownicy jedli u sołtysa obiad, zaczął padać deszcz. Niebo pochyliło się jeszcze więcej, a deszcz padał delikatny a gęsty, tak jak wtedy, gdy ma zamiar padać długo.

Wielu pochowało się do domów i szop, ale większa część pozostała na dworze i nie robiła sobie nic z deszczu. Od czasu do czasu pochylali się ludzie naprzód, zlewając z kres kapeluszy całe strugi wody na ziemię; zresztą byli tak przyzwyczajeni do wilgoci, że nie wiele sobie z tego robili. Deszcz przesiąkał przez wełnę, a z brzegów surdutów spływał w niebieskich kroplach.

W ludziach, którzy czekali, nie było znać najmniejszej niecierpliwości. Wszyscy wiedzieli bowiem, że przecież i wysoki sąd musi mieć czas na to, aby zjeść przyzwoity obiad.

III.

Na honorowem miejscu przy stole siedział sędzia Hierth, po prawej jego stronie sędzia powiatowy, a po lewej wójt; dalej siedzieli adwokaci podług starszeństwa, pełnomocnicy według rang swych pryncypałów, pisarze w tym samym porządku, a w końcu kilku chłopów, przewodniczący rady gminnej i kilku innych zaproszonych. Ostatnie miejsce zajmował sołtys.

— Zaraz można zauważyć, że nasz pan sołtys posiada kucharkę z miasta — rzekł stary adwokat Kahrs i mlasnął językiem -- to nie tak, jak za dawnych czasów gdy musieliśmy wlewać w siebie cały cebrzyk szwedzkiej zupy, z syropem i cynamonem.

Rzekł to półgłosem do wójta; było dopiero pierwsze danie: pudding z ryb i gotowany homar, a rozmowę prowadził wyłącznie tylko sędzia Hierth.

Czerwone wino było bardzo kwaśne, ale mimo to bardzo silne; prócz tego była wódka i piwo, tak że nastrój podniósł się wkrótce. Tymczasem sędzia Hierth umiał nałożyć tłumika na żywsze usposobienia i przy początku obiadu odbywało się wszystko formalnie.

Do sąsiadów przemawiano tylko bardzo pocichu, a do sędziego Hierth nie mówił nikt, chyba tylko zapytany dawał odpowiedź. Hierth miał zwyczaj wystosowywania do każdego jakiegoś obojętnego słówka; dzisiaj był szczególnie uprzejmym dla obecnych chłopów. Leżało mu na sercu, aby się okazać dobrodusznym, przyjacielskim i przez to stać się popularnym.

Przy pieczeni zwykł był wygłaszać toast na cześć króla jegomości, a potem chętnie wygłaszał kilka krótkich mówek jak popadło. Dzisiaj zwrócił się do pełnomocnika sędziego powiatowego, kandydata Alfreda Bennechena, który niezadługo miał opuścić te strony.

— Jeżeli pan więc, panie kandydacie Bennechen — brzmiał ustęp tego przemówienia — opuszczasz to koło swej działalności, któremu poświęciłeś kilka najlepszych lat swej młodości, aby się przenieść do działalności, która wymaga więcej odpowiedzialności i może też jest uciąższliwszą, ale też za to zaszczytniejszą i daleko wznioślejszą, to żegnamy pana i dziękujemy panu za ten czas, przez jaki pracowałeś razem z nami. Ale chociaż rozłączamy się tylko przestrzeniowo, pozostajemy przecież przy wspólnej pracy. Nie będę zapewne niedyskretnym, gdy zawiadomię szanowne zgromadzenie, że pańskim zamiarem jest wstąpić do jednego z ministerstw — zapewne do tego, którego przełożonym jest pański ojciec?

Alfred Bennechen skłonił się uprzejmie, potakująco.

— A zatem powiadam — ciągnął sędzia Hierth dalej, — że pozostajemy przy wspólnej pracy. Czyż to nie wielka wspólna praca, która się rozchodzi po całym kraju? Czyż działalność urzędników nie jest pierścieniem, który jak silny pas owija nasz lud? Pana zatem, zmieniającego niejako miejsce w tym łańcuchu, chcemy prosić, abyś twemu szanownemu ojcu zaniósł nasze najuniżeńsze pozdrowienie z prośbą, aby zapewnił króla jegomości, że pracujemy — w tem cała rzecz polega, moi panowie — że pracujemy wśród ludu jako wierni słudzy jego królewskiej mości. A panu, panie kandydacie Bennechen, chcemy życzyć, abyś mając przed oczyma podniosły przykład swego szanownego ojca zaszedł daleko, bardzo daleko na swej drodze, i tak jak on stał się dumą, chlubą i ozdobą swej ojczyzny. Panie kandydacie Bennechen, Bóg z panem!

— Ależ napocił się nad tą mową, możesz mi pan wierzyć — rzekł adwokat Kahrs do swego sąsiada po lewej stronie, gdyż przemówienia sędziego bywały zwykle, tylko tak sobie

Sędzia powiatowy wygłosił teraz także na pół humorystyczną mowę na cześć swego pełnomocnika; Alfred Bennechen odpowiadał, tak, że tego dnia przemawiano dosyć dużo.

Gdy nastrój doszedł już do szczytu, pisarzowi wójta utkwił w gardle kawałek pieczeni. Biedny człowiek byłby się niemal udusił i położenie stawało się krytycznem. Sąsiad jego palnął go jednak pięścią tak silnie w kark, że kawałek mięsa poruszył się nareszcie i wypadł na stół.

Sędzia zasłonił się serwetą; wójt uniewinniał po tysiąc razy swego pisarza; tylko adwokat Kahrs przypatrywał się uważnie kawałkowi mięsa i przysięgał, że waży przynajmniej ćwierć funta.

Ten wypadek zepsuł ogólnie cały nastrój dla sędziego Hiertha. Młodzi adwokaci zaczęli się śmiać i rozmawiać przez stół; żywość zaczęła stać w sprzeczności z powagą i szacunkiem dla starszych.

Sędzia sam wskutek tego nieprzyjemnego wypadku dostał takiego strachu, że za każdym razem podrywał się na krześle i brał do rąk okulary, skoro tylko ktoś zakaszlał, a pisarza wójta prosił usilnie, aczkolwiek łagodnie, aby przecież zadał sobie trudu i pieczeń krajał na mniejsze kawałki.

— Wiele jest rozpraw na popołudniu, panie sędzio powiatowy? — zapytał Hierth, widząc, iż nie jest już w stanie zapanować nad rozmową.

— Tego naprawdę nie wiem — odpowiedział ten zadowolony i postawił szklankę. — Panie Bennechen, wiele tam jeszcze na liście?

— Dosyć, a między innemi bardzo zajmujący wypadek! — pełnomocnik pochylił się do sędziego powiatowego i mówił dalej przytłumionym głosem.

— Cóż to takiego? — zapytał Hierth.

— Proces o bezprawne wspólne pożycie, panie sędzio, nic więcej! — odparł sędzia powiatowy i zaczął mrugać swemi małemi jasno-szaremi oczkami; był to mały tłusty człowieczek z czerwonymi policzkami, w peruce.

— Czy pan sędzia powiatowy nie chciałby sam dziś prowadzić tej sprawy? — zapytał pełnomocnik. — Poszłoby gładziej, a prócz tego nikt tak doskonale nie umie traktować podobnych wypadków jak pan.

— Ach tak, zrób pan to, panie sędzio, będziemy mieli wspaniałą zabawę! — zawołał nieostrożnie wójt.

Sędzia Hierth poruszył się, tak że słychać było, pogładził swą wielką, siwawą brodę i nasadził na nos złote okulary. Nie można było nic powiedzieć, gdyż chłopi byli obecni. Sędzia Hierth napił się wina, trąciwszy swoją szklanką o szklankę naczelnika gminy.

Podczas gdy na jednym końcu stołu prowadziło kilku adwokatów żywą rozmowę, na drrgim, gdzie siedział Hierth, rozmawiano szeptem.

— Czy to są młodzi ludzie? — zapytał sędzia powiatowy.

— Nie, on to wdowiec w podeszłych latach, a ona służąca; ale widzi pan, córka...

— Ah, sądzisz pan, że jako świadek...

— Co się tyczy służącej — dorzucił adwokat Tofte — to jak słyszę udała się z dzieckiem przed miesiącem do Ameryki.

— Tak, przesłuchanie świadków jest najwięcej zajmującem — rzekł adwokat Kahrs i roześmiał się — znam Krystynę Vatuano; to najprzystojniejsza dziewczyna w powiecie.

— Jeżeli tak jest, że sprawa pójdzie prędzej, gdy ją poprowadzi sam pan sędzia powiatowy... — zaczął sędzia Hierth, udając że nie słyszał wcale uwagi wójta.

— Z pewnością to zrobię, jeżeli tylko pan sędzia rozkaże — zawołał sędzia powiatowy.

— Nie, nie, nie rozumiej mnie pan źle; mówiłem tylko, że byłoby dobrze, gdybyśmy wobec takiej brzydkiej pogody wcześniej dostali się do miasta.

Sędzia powiatowy mrugnął znowu swemi małemi oczkami i zgodzono się na to, że sędzia powiatowy będzie popołudniu prowadził rozprawy. Następnie Hierth wypił z nim osobno szklankę wina.

Po czerwonej kaszy, podano jeszcze Sherry, tak że coś jak zorza wieczorna osiadło na twarzach większej części biesiadników. Adwokat Kahrs zauważył, że to arcygłupio ze strony pisarza wójta, iż w dodatku po takiem doświadczeniu z kawałkiem pieczeni, odważył się wepchać w siebie jeszcze trzy talerze czerwonej kaszy. Śmiano się głośno, rozmawiano i pito do upadłego; tylko chłopi jedli pocichu i tylko z nieufnością popijali wino.

Ale wśród hałasu największego zapukał sędzia Hierth w szklankę i zakończył obiad.

Lud mógł po tych wielu czerwonych twarzach, które teraz ukazały się w oknach i we drzwiach, zauważyć, że obiad skończony; na dwór nie można było wyjść z powodu przeklętej pogody.

Po kawie zamieniono izbę znowu na salę sądową, a sędzia powiatowy z wielką uroczystością zaczął wydawać wyroki.

Sędzia powiatowy wyglądał na krześle kurulnem bardzo dobrze. W pięknie ukształtowanej głowie, w białej peruce, spoczywało wiele godności, a bystre jasno-szare oczka wpijały się do wnętrza oskarżonych i świadków. Był on znany ze swych słusznych wyroków; ale jego główną siłą było bezsprzecznie śledztwo.

Nikt nie umiał tak jak on wplątać kogoś w sprzeczności, przekręcać słowa, przerzucać je i tak układać, że zanim jeszcze mógł coś wiedzieć, wyglądało to już na pół wyznania i w ten sposób zwykł był, jak się sam wyrażał „wyśrubowywać prawdę z ludzi“.

Dzisiaj szło wszystko niezwykle prędko, ale zawsze jeszcze z godnością. Kilka spraw cywilnych załatwiono szybko; wszyscy adwokaci wiedzieli, że chodziło o to, aby się dostać do *cause celèbre*, do procesu o bezprawne wspólne pożycie, a jak się cieszono na zajmujące przesłuchiwanie swiadków, można było zauważyć po lekkich trącaniach się w bok i znaczących spojrzeniach. Dlatego też nie rozprawiano wiele, lecz przy każdej drobnostce stawiano wniosek o odroczenie a strona przeciwna godziła się na to bez wahania. Tylko głupi adwokat Kruse nie chciał tego zrozumieć, lecz dyktował spokojnie dalej do protokółu bez końca. Adwokat Kahrs ciągnął go za surdut i Alfred Bennechen, który prowadził protokół, stroił grymasy, podczas gdy sędzia powiatowy sapał i kręcił się na krześle to w tę to w ową stronę.

Kruse nareszcie skończył i rozpoczął się proces o bezprawne wspólne pożycie.

Drzwi do sieni i na podwórze były teraz otwarte, a tłum stał skupiony na dworze i dotykał prawie sali sądowej.

Mokra wełna zaczęła parować, skoro tylko znalazła się w cieple. Powietrze stawało się duszne, a krople zaczęły ściekać po szybach. Na korytarzu stał ten, z kwaśną miną, w największej kupie. Był tak mały, że nic nie mógł widzieć, ale słuchał z natężeniem każdego słowa, choć nie rozumiał nic.

(Ciąg dalszy nastąpi).

FR. MIRANDOLLA.

POEZJE.

Dziki..

Dziki z boleści, zdzieram z siebie szatę
Białą, godową.
Pocóż na barki brałem ja tę szmatę
Lukulusową?

Pocożem siadał do uczty użycia
Na brudnej ziemi
Jak psami wkoło otoczon bliźnimi
Zdolnymi tylko do wycia.

Precz! Chcę odpocząć i rzucam się nagi
Blady jak upiór na starą mogiłę,
Odkopię resztki zbutwiałe i zgniłe
Chcę wiary, treści, powagi.

Chcę się wytarzać i chcę się wyszlochać
Na twardej ziemi,
Tu się z wizjami pożegnać błędnemi
Zapomnieć kochać!..

Niespokojni.

Mają dzikie i skryte jak węże nadzieje
Co zdają się ich czekać przy każdej latarni
Idą wśród zimnej nocy szaleńcy bezkarni
Z piekłem w mózgu co w czaszce słania się i mdleje,
W każdą najgłębszą ciemność umieją się zanurzyć.

Idą, idą jak widma ponad czarną rzeką
Co szemrze w granitowe ujęta łożyska.
Wiater im zimne krople w twarz garściami ciska
Lub rzuca jak łachmany w pomrokę daleką...
Z głębi nurtów co senne i cuchnące cieką,
Śmierć ich szmerem przyjaznym jak znajomych wita....

U CZIKOSÓW

(Wspomnienie z podróży po Węgrzech).

Dokończenie.

Czikosi zeskoczyli wreszcie z rumaków i zbliżyli się do mnie, witając bardzo serdecznie i z wielu ceremonjami. Wśród ciągłych ukłonów wypytywali się skąd „wielmożny pan" przychodzi, dokąd dąży i czy oni mogą mu pomódz w czemkolwiek.

Zaledwie powiedziałem, żem głodny, a już najmłodszy z czikosów dobył z płóciennego tobołka, jaki przy boku miał zawieszony, ogromny bochen chleba, kawał słoniny i drewniane pudełeczko z papryką i solą gruboziarnistą, prosząc abym nie pogardził tym skromnym posiłkiem i jadł ile zdołam. Drugi, wydostał z głębokiej kieszeni swych niebieskich szarawarów wielki, do sztyletu podobny nóż, trzeci wetknął mi w rękę drewnianą flaszkę tak zwaną *csutorę*, napełnioną silnym treberem, a czwarty, aby mi się również czemś przysłużyć, zerwał ze swego konia wełnianę derkę (prawda, że niezupełnie suchą!) a dodawszy jeszcze do niej swój *szür* (rodzaj płaszcza z grubej materji), urządził mi na ziemi wygodne siedzenie.

Teraz nadbiegły także obie dzieweczki, ukończywszy nareszcie swoje cyrkowe harce. Z wdzięczności za otrzymane krajcary, przyniosły mi olbrzymi bukiet róż wodnych, lśniącej białości; zobaczywszy mój szerokokresy kapelusz porzucony w trawie, uznały za stosowne przystroić go również kwiatami. Podczas tego zaś gdy one zatykały za wstążkę całe pęki czerwonych „ogników", ulubionego kwiecia wszystkich mieszkańców puszty, najmłodszy z czikosów, pociągnąwszy spory haust z *csutory* nucić począł popularną piosenkę węgierską t. z. *„dal"*; inni mu zawtórowali i wnet rozbrzmiało chórem:

— Hej jak piękny kołpak mój,
kołpak mój,
Podziwia go dziewcząt rój,
dziewcząt rój!
Najpiękniejsza — lubka ma,
lubka ma,
Mój kołpaczek dobrze zna,
dobrze zna!...

Zaledwie ukończono jeden *„dal"*, wnet zaczynano drugi. Rozochoceni czikosi, przytupywali sobie do taktu, przykładali dłonie z tyłu do głowy i śpiewali:

— Hej, jak rośnie trawa w stepie
wyżej głów, wyżej głów!
Hej, dziewczynę mą zobaczę
dzisiaj znów, dzisiaj znów!
Któraż z dziewcząt, jej podobne
usta ma, usta ma?
Hej, mój skarb, tych ust skosztować
da mi da, da mi da!...

Wybornie smakował mi tego dnia wieczorny posiłek, co ogromnie cieszyło czikosów. Spoglądali z zadowoleniem jak krajałem czarny ich chleb i kawałek za kawałkiem do ust pakowałem.

Naraz, jakaś mleczno-biała głowa końska położyła się od tyłu na mem ramieniu, a długi język wysunął się chciwie ku smacznemu kąskowi.

— Aj, aj, babciu Juliszko! — zawołał najstarszy z czikosów ku klaczy — czy to ładnie i przyzwoicie? Napadasz na wielmożnego pana, na gościa, i chcesz go obrabować jak jaki *szegény-legény* (biedny chłopak-rozbójnik)! Hej, tu zaraz i prosić pięknie!

Jedno poruszenie ręki czikosa i stara klacz cofnęła się, a potem, z gracją stąpając weszła do naszego koła, przypadła na przednie kolana i potrząsała rozumną głową dopóty, aż jej nie podałem kawałka chleba.

— Powiedz wielmożnemu panu: *kössönöm* (dziękuję)!

Klacz zbliżyła się i polizała mi rękę.

Kiedy wyraziłem czikosowi moje zdumienie nad roztropnością zwierzęcia, rzekł z uśmiechem:

— O, babcia Juliszka rozumie każde słowo które się do niej mówi! Mówię do niej tak, jakby do mojej starej i niech mi wielmożny pan wierzą, Juliszka rozumie mnie często lepiej niż moja stara, i w dodatku nie ma nigdy nic temu co ja mówię do zarzucenia, jak to czyni moja stara i wogóle wszystkie kobiety... Wszak tam u was, w Polsce, nie inaczej?... Hej, Juliszko, babciu Juliszko!

Klacz przyszła natychmiast do niego, przytuliła głowę do jego policzka i naszczurzyła uszy, słuchając co jej pan mówił. Lekkim klapsem po szyi skończył czikos pieszczotę i klacz, w wesołych podskokach powróciła do stada.

— A teraz, niech wielmożny pan zobaczy jeszcze mego ulubionego konia, którego używam zawsze gdy mam chwytać konie z tabunu. Wart aby go poznać! — rzekł czikos.

Krótki urwany gwizd...

Opodal, wysunął się z gęstwiny nadbrzeżnej cudnie zbudowany, kary ogier, i w lansadach zbliżył się do nas.

— He, he! — zaśmiał się czikos — Sandor wie zawsze gdzie najsmaczniejsze pożywienie znaleść można! Wybredniś!.., Niedawno, splądrował do cna cały ogród kwiatowy pani inspektorowej w Ohát...

Ogier miał jeszcze na grzbiecie czaprak, a na szyi, wolno zawieszone *lasso*, które mą szczególniejszą obudziło uwagę.

— *Jó napot* (dzień dobry), przyjacielu Sandor!

Koń zatrzymał się przed swoim panem i podniósł prawą przednią nogę, podając ją do uścisku.

— Pokaż, jakiś ty duży, przyjacielu Sandor?

Ogier podniósł się na tylnych nogach z błyskawiczną szybkością i prosto jak świeca stanął przed nami.

— Zaśpiewaj nam jaką ładną piosenkę, przyjacielu Sandor!

Ozwało się rzenie tak rozgłośne i przeraźliwe, że z pośpiechem zasłoniliśmy uszy dłońmi.

Wyraziłem życzenie obejrzenia *lassa*.

— Jak robi leniwy *csiko* (łoszak)? — zawołał czikos.

Koń zwalił się w jednej chwili na ziemię, wyciągnął wszystkie cztery nogi przed siebie i pozostał bez ruchu, nawet wtedy, gdym mu *lasso* zdjął z szyji.

Jego pan stanął wtedy nad nim i złożywszy dłonie koło ust, zawołał:

— Turcy idą, Turcy idą, Sandor!

Jakby przez tarantulę ukąszony, zerwał się ogier na równe nogi i lotem ptaka umknął w step, pośród głośnego śmiechu czikosów.

Obejrzałem *lasso*. Jestto dość cienki lecz silny sznur konopny, długi około 24 metrów i zakończony niewielką, mosiężną kulką. Najpospolitszy sposób chwytania koni na *lasso* jest ten, że czikos stanąwszy konno na uboczu, czeka aż jego towarzysze nadpędzą tabun. Wtedy upatrzywszy ofiarę, rzuca *lasso* tak, aby omotało się około jej nóg lub szyji. Niebezpieczniejszy, i dlatego właśnie częściej przez czikosów praktykowany sposób polega na tem, że czikosi na wyborowych, wytrwałych rumakach pędzą za stadem, oddzielają konia którego schwytać pragną od innych, poczem, najsilniejszy i najzręczniejszy z nich zarzuca *lasso* na szyję zwierzęcia, zeskakuje ze swego rumaka i usiłuje gwałtownym skokiem dosiąść wspinającego się jeńca. Gdy mu się to powiedzie, napróżno już pojmany zwierz rzuca się to w bok, to naprzód, napróżno wierzga i staje dęba; jeździec siedzi jakby przykuty do jego grzbietu... Przerażony koń ucieka wreszcie w step, przebiega w szalonym pędzie pusztę, przesadza rozpadliny, idzie z wiatrem w zawody i ostatecznie, wyczerpany, znużony śmiertelnie, poddaje się woli dzikiego jeźdźca i odtąd już jak dziecko posłusznym mu się staje...

Czikosi, to jeden w drugiego — chłopcy na schwał. Wysmukli, muskularni, wytrwali na wszelkie niewygody, szczerzy i dobroduszni wobec przyjaciół, odważni aż do zaciekłości wobec wroga, byli już opiewani przez niejednego z węgierskich poetów. Dla kawalerji węgierskiej są oni przewybornym materjałem i stanowią jej część najlepszą. Służbę wojskową pełnią wzorowo, tęsknią jednak w dusznych koszarach za swoją pusztą, i zdarza się bardzo rzadko, ażeby który znich, po ukończeniu służby, przyjął jakiekolwiek miejsce poza granicami swych stron rodzinnych. Jeszcze rzadziej się zdarza, ażeby czikos wprowadził jakąś „obcą" dziewczynę jako żonę do ojcowskiej chaty...

Zapadający zmierzch przypomiał nam, że czas ruszyć w drogę. Czikosi w jednej chwili dosiedli koni i przy pomocy swych psów opędzili stado.

Dziewczęta usadowiły się również, wraz ze swemi garnuszkami na grzbiecie „babci Juliszki".

Czikosi podrzucili w górę kapelusze na pożegnanie, dziewczęta powiały swemi czerwonemi, z głowy zdjętemi chustkami.

— *Isten áldja meg!* (Niech Bóg błogosławi!)

— *Isten áldja meg!...*

I za chwilę, śród szczekania psów i trzaskania harapów, tabun zniknął za kurzawą i mrokiem.

Śpiesznym krokiem podążyłem ku szarzejącemu w oddali szałasowi...

F. W...

Wiadomości artystyczne i literackie.

Znakomity obraz J. Brandta pt. „Wyjazd króla Jana III. z Marysieńką z Wilanowa" wystawiony został w Warszawie.

Portrecista prof. Aksentowicz maluje we Lwowie portret posła hr. R. Potockiego.

Teatr warszawski, który jak wiadomo, otrzymał nowego dyrektora naczelnego w osobie p. Iwanowa, zamierza wkrótce wystawić kilka oryginalnych premier z dziedziny dramatu i komedji, mianowicie K. Glińskiego: „Almanzora" i „Szaławiłę" oraz „Ogniwa" K. Zalewskiego.

W Warszawie otwarto salony krakowskich i — francuzkich artystów-malarzy.

Nowa sztuka G. d'Anunzio słynnego autora „Tryumfu śmierci" pt. „Sen poranku wiośnianego" upadła w Rzymie.

Skrzypek Wł. Górski odbywa obecnie tournee artystyczne po Anglji.

W Paryżu wystawiono dwie nowe opery, które doznały sukcesu, mianowicie: operę Hirschmana pt. „Miłość w Bastylji" oraz Büssera: „Dafnis i Chöe".

Malarz czeski Brozik był przedmiotem gorących owacyj w Paryżu, gdzie obrazy znakomitego artysty cieszą się ogromnem powodzeniem.

Walery Gostomski, znany estetyk i krytyk, przystąpił w Warszawie do napisania: „Historji literatury powszechnej", która ukazywać się będzie zeszytami, nakładem Gebettnera i Wolffa.

Lola Beethówna wystąpiła z koncertem w Warszawie. Głosowi primadonny wiedeńskiej nie szczędzi krytyka tamtejsza — zarzutów.

W Pradze czeskiej będzie wkrótce wystawioną „Halka" Moniuszki.